
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Bronisława Bejda i Wacław Borkowski – Ważniejsze epizody z pięcioletniego pobytu rodziny Borkowskich na „niehumanitarnej ziemi”

Było to 5 czerwca 1941 roku, dzień zapowiadał się bardzo piękny, słońce świeciło od samego rana. Szykowaliśmy się do śniadania, gdy usłyszeliśmy warkot silników samochodów, które wjechały na podwórko. Z samochodów wyskoczyli sowioci. Część z nich okrążyła dom z automatami gotowymi do strzału, a kilku wbiegło do domu z okrzykiem *Ruki w wierch, sberajcieś skarej*. Wszyscy zamarliśmy z przerażenia nim dotarło do nas, że wywożą nas tylko nie wiemy, dokąd. Zaczęło się nerwowe, co zabrać, ile zabrać. Czasu niewiele. Ktoś życzliwy odpowiedział, że ubrania i żywność. Mama założyła na siebie kilka sukienek, a resztę spakowała w worki. W spiżarni był zapas wędlin, które również umieszczono w workach.

Następnie zjechały furmanki wyznaczone przez sowietów, które zawiozły na dworzec do Podbrodzia. Tam czekaliśmy trzy dni nim skompletowano transport. Dowożono przede wszystkim rodziny z majątków jak również rodziny wojskowych. Do wywózki przeznaczono całą rodzinę, która mieszkała w majątku Ksymenowo (obecnie Litwa) tj. jedenaście osób. Rodziców z czworgiem dzieci (Tadzikiem – 8 lat, Heleną – 6 lat, Władysławem – 4 lata,

Marysią – 5 miesięcy), dziadkiem Kleofasem (80 lat), babcią Jadwigą (70 lat), bratem dziadka Stanisławem (75 lat) oraz stryjkiem Ignacym (27 lat) z żoną Stanisławą (23 lata). Zabrakło stryjka Jana, który w tym czasie był nieobecny w domu. Gdy wracał przypatrywał się z ukrycia co się dzieje. W związku z tym wysłano za nim list gończy, dlatego musiał się ukrywać.

Wsadzono nas do bydłych wagonów bez okien i toalety – jak było. Mama miała prześcieradło, które służyło za parawan w czasie załatwiania potrzeb fizjologicznych przez dziurę w podłodze. Po kilku dniach ryknęła sowiecka maszyna i transport ruszył. Najpierw zaległa cisza, a następnie ogólny szloch. Jechaliśmy wciąż dalej i dalej od Ojczyzny, którą przez szparę wyciętą scyzorykiem żegnaliśmy. Dopiero po przekroczeniu gór Ural pociąg się zatrzymał. Odryglowano drzwi umożliwiając wyniesienie z wagonów umarłych. Po krótkim postoju ponownie zaryglowano drzwi i pociąg ruszył dalej. Mijaliśmy wsie i miasta jak: Ufa, Czelabińsk, Omsk, Nowosybirsk i dojechaliśmy do miasta Barnauł nad rzeką Ob jako do stacji docelowej. Gehenna podróży trwała dwa tygodnie. Zakwaterowano w obskurnym baraku nas jedenaście osób i jeszcze sześć osób z innego przedziału. Było bardzo ciasno w tak małym pomieszczeniu. Poruszanie się było utrudnione, ktoś kogoś potracał, najgorzej było z małymi dziećmi – wybuchały konflikty.

Tato (40 lat) pracował przy jakiejś budowie, mama (27 lat) nie pracowała, bo miała małe dziecko. Siostra Marysia miała w tym czasie pięć miesięcy i po trzech miesiącach zmarła. Skończyły się zapasy żywnościowe zabrane z domu i oprócz ciasnoty, braku środków higienicznych zaczęto odczuwać niedostatek żywności.

Po pewnym czasie przewieziono nas do tajgi na 41 oddział (*sorok pierwszy uczastek*). Wokół las – początkowo mieszkaliśmy w namiotach (pałatkach). Następnie przeniesiono nas do baraku. Otoczenie było ogrodzone a wszystkiego pilnował strażnik z automatem gotowym do strzału. Nie wolno było się oddalać od namiotu czy też baraku. Mama pracowała z innymi kobietami w tajdze przy wyrębie drzew. Była to bardzo ciężka praca szczególnie dla kobiet, dlatego zdarzały się wypadki. Upadające drzewo zabiło współpracownicę, która osierozyła czworo dzieci, sama również nie uniknęła wypadku – siekierą uszkodziła poważnie stopę. Tato natomiast wykonywał różne prace, jakie mu kazali, był flisakiem przy spławianiu drewna z tajgi rzeką Ob, innym razem kazali paść konie kołchoźników na stepie. Dobrze, że miał ze sobą zapałki i garnek, to zbierał kłosa, grzyby i gotował na samej wodzie bez soli i tym się żywił. Gdy przyjechali po niego, bo tata nie mógł chodzić tak był wycieńczony (brak soli powodował, że pojawiła się opuchlizna). Myślał, że tu w stepie, w samotności, wśród koni przyjdzie umrzeć. Po powrocie ze stepu tato pomału dochodził do siebie, więc skierowano do go lżejszej pracy – został stróżem. Pilnował magazynu żywnościowego. Mógł więc przemycać po kilka kartofli dla rodziny narażając się na więzienie. Obierki po ziemniakach były suszone, by później zmielone na żarnach służyły powtórnie do jedzenia.

Babcia z dziadkiem nie pracowali z powodu podeszłego wieku. Dziadek często chodził po przydzielony chleb, który był pieczony nie wiadomo z czego i był taki kruchy, że się rozpadał; przynosił go w czapce. Babcia pomagała mamie zajmując się dziećmi, chodziła po wodę do beczkowni. Od rana ustawiała się kolejka i czekano na przywóz wody. Jak tylko przywieźli to nastę-

pował wielki chaos, przepychanki, każdy chciał dostać wiaderko wody, więc przy tej przepychance więcej rozlali niż przynieśli. Z wodą było ciężko ciągle jej brakowało. W zimie topili śnieg, ale to była kropla w morzu potrzeb. Trzeba było prac (zamiast proszku używano popiół drzewny), myć się, walczyć z insektami: wszy, pchły, pluskwy, karakany i inne. W lecie komary, meszki i różnego rodzaju muchy. Brak środków higienicznych, środków do prania, wycieńczenie pracą, insekty i brak pożywienia sprawiało, że ludzie zaczęli chorować. Najgorszą chorobą był tyfus, to było straszne, ludzie leżeli pokotem w barakach i codziennie wynoszono nowych zmarłych, dzieci chorowały ciężko na tyfus, koklusz, malarię. Śmierć zbierała duże żniwa słychać było szloch i jęk rodziców po stracie najdroższych dzieci. Naszej rodziny tragedia też nie ominęła. Zimą 1943 r. na tyfus zmarł brat Tadeusz oraz brat dziadka Stanisław, tyfus przetrzymała siostra Hela, brat Władek, oraz stryjenka Stanisława. Przetrwali, bo w porę przysłała pomoc z zagranicy, szczególnie dla dzieci tj. tran i mleko w proszku, które powodowały szybszy powrót do zdrowia. Najważniejszym zadaniem rodziców było zdobywanie pokarmu dla dzieci i dla reszty rodziny. Zbierano pokrzywę, lebiodę, grzyby, jagody i z tego gotowano potrawy. Zimą trzeba było żyć z przydziału chleba. W trudnych sytuacjach mama wymieniała odzież za żywność np. za halkę dostała wiadro kartofli (szczęśliwa nabywczyni halki uszyła z niej bluzkę).

Dotarła wieść o formowaniu wojska polskiego na terenie ZSRR z ochotników wypuszczonych z więzień i łagrów przez gen. Władysława Andersa. Wówczas tato i stryj Ignacy pojechali na punkt rekrutacyjny. Stryj Ignacy przeszedł rekrutację pozytywnie i został wcielony do armii. Przeszedł cały szlak bojowy. Walczył między innymi pod Tobrukiem i Monte Casino. Po wojnie zamieszkał w Anglii i już do Polski nie wrócił – tam został pochowany. Tato z powodu ułomności (utykał) oraz niewystarczającego wykształcenia nie spełniał wymogów, więc musiał wrócić z powrotem. Po powrocie (około dwa tygodnie) był tak zawszony, że mama zdjęła koszulę i na patyku wrzuciła do ogniska.

Wszyscy czekali na koniec wojny z nadzieją, że coś się zmieni i wrócimy do ukochanej Ojczyzny, do Polski. W marcu 1945 r. urodził się brat Wacław. Mama z tatą przeżywali trudne chwile, był słaby i często chorował. Stan był poważny, lusterkiem sprawdzano, czy oddycha. Rodzice byli przygotowani na śmierć, ale z Bożą pomocą wyszedł z tego. W maju 1945 r. dotarła radosna wieść – koniec wojny. Z baraków słychać było radosne okrzyki „wojna się skończyła”. Ale co to oznacza dla nas? Zaczęły się starania o powrót do Polski. Obecne tam władze sowieckie odpowiadały, że nie po to nas tu przywozły, żeby nas z powrotem odwozić. Czekaliśmy długo na dalszy rozwój zdarzeń.

W zimie z 1945 r. na 1946 r. zmarła babcia Jadwiga. Zima tego roku była bardzo mroźna i śnieżna, trudno było wykopać normalny grób. W 1946 roku tata desperacko czynił starania o pozwolenie wyjazdu rodziny do Polski. Mimo różnego rodzaju upokorzeń, które tata cierpliwie to znosił i nie odpuszczał. W czasie kolejnej wizyty w biurze enkawudzista rzucił na podłogę podpisane dokumenty pozwalające na powrót do Polski. Tata pozbierał papiery z podłogi i szczęśliwy wyszedł z biura. I tak nadszedł upragniony dzień 5 czerwca 1946 r. – dzień wyjazdu. Z radością żegnaliśmy tę nieprzyjazną ziemię z myślą by tu nigdy nie wrócić. I byliśmy szczęśliwi, ale inni pozostawali w smutku i żalu.

Wsiedliśmy do normalnych wagonów z siedzeniami, oknami oraz oddzielną ubikacją, po prostu komfort. Tylko w duszy żal, że nie ma czterech

osób z nami, oni zostali tam na zawsze. Transport z Syberii przyjechał w okolicy Szczecina. Naszą rodzinę osiedlono w miejscowości Skalno. Poprzez czerwony Krzyż rodzice odszukali resztę rodziny, i tak nasza rodzina odnalazła się w okolicy Braniewa.

*

Franciszek Staniul – *Z gimnazjum do łagrów*

1. Sieluki

We wsi Sieluki, gmina wiejska Dziewieniszki, rodzice moi posiadali gospodarstwo rolne. Za czasów II Rzeczypospolitej tereny te należały do powiatu Oszmiana, który obecnie znajduje się na terytorium Litwy i Białorusi. Od momentu mojego urodzenia (1927 r.), wiadomo było, że to ja zostanę prawowitym właścicielem gospodarstwa, bo byłem jedynym synem. Miałem dwie siostry, starszą – Stasię (1925 r.) i młodszą – Felę (1929 r.). Dom i gospodarstwo były okazałe i dobrze prosperujące, bo ojciec dokładał wszelkiej staranności w utrzymaniu gospodarstwa.

Dzieciństwo szybko minęło i nadszedł czas obowiązków szkolnych, które dzielone były z ojcowską nauką sztuki rolnej. Chodziłem do polskiej, siedmioklasowej szkoły w Dziewieniszkach. Po raz pierwszy moja edukacja została przerwana w 1939 r. Kiedy Rosjanie weszli 17 września do Polski, nic początkowo we wsi się nie działo, ale pojawił się nowy nauczyciel języka rosyjskiego – Żyd. Mimo, iż szkoła znajdowała się w drugiej wsi, przybysz do zamieszkania wybrał nasz dom, podobał mu się, bo był obszerny, ładny i czysty. Rozgościł się w jednym z pokoi, wstawił tam cały swój dobytek, z którego doskonale pamiętam metalowe z posrebrzanymi elementami ozdobnymi łóżko i narty biegówki. Z domownikami komunikował się po rosyjsku.

Po krótkiej przerwie wywołanej wojną, nastąpił mój ponowny powrót do szkoły, tym razem rosyjskiej. Nie za często do niej chodziłem, bo w gospodarstwie czekała praca, trzeba było zadbać o nasz byt. Gdy Niemcy zaatakowali ZSRR, po raz drugi nastąpiła moja przerwa w nauce, ale otrzymałem świadectwo szkolne, bo wojna wybuchła w czerwcu 1941 r. czyli pod koniec zajęć szkolnych. Nasz nauczyciel, tak jak nagle się zjawił tak i nagle zniknął i pozostały po nim tylko rzeczy. Może był szpiegiem badającym nastroje i nastawienie do ZSRR?

Nie wiem także jaka była przyczyna, ale doskonale pamiętam, że tuż po zaatakowaniu ZSRR przez Niemcy, radzieccy żołnierze spędzili do stodoły wszystkich mężczyzn z okolicy, w tym także mojego ojca. Zatrzymani, początkowo byli pilnowani przez strażnika a po pewnym czasie, mimo jego obecności mogli spokojnie wrócić do domów. Podobnie jak i inne dzieci poszedłem do tej stodoły stojącej na skraju lasu, wziąłem ojca za rękę i wyszliśmy przez nikogo nie kontrolowani. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Nie za bardzo podobała mi się perspektywa pracy na roli, ale decyzja ojca była nieodwołalna. Już wkrótce okazało się, że nabytą wiedzę musiałem stosować w praktyce i ponosić konsekwencje swoich decyzji, bo w 1942 r. w wieku 56 lat ojciec zmarł. Jako piętnastolatek nie bardzo chciałem wiązać swoją przyszłość z gospodarką, ale sumiennie pracowałem i zdobywałem doświadczenie.

Po latach mama wspominała, że pszenica, którą posiałem tuż przed moim aresztowaniem bardzo pięknie wyrosła, i żałowała, że jej nie widziałem. W jej słowach było to wielkie wyróżnienie, bo znała się na rolnictwie, a ponadto pszenicy u nas się nie siało, był to mój doświadczalny zasiew.

Na naszych terenach sprawnie działały oddziały Armii Krajowej, znalazło się w nich dużo chłopców. Jedną z jednostek 6 Batalionu dowodził Zdzisław Bułak-Bałachowicz „Zdrój”. Jego kompania wiosną 1944 r. rozbroiła między innymi garnizon policji litewskiej w Dziwieniszkach. Stałe miejsce postoju dowództwa, na którego czele stał kapitan Stanisław Dedelis (pseudonim „Pał”) znajdowało się w zaścianku Baranowicze. W szeregach dowodzonych przez „Pała” działał mój wujek Aleksander Bujnicki. On to stopniowo powierzając mi różnorodne zadania do wykonania włączył mnie do struktur AK. Byłem niespełna szesnastoletnim chłopcem, dlatego łatwo było mi przemieszczać się po terenie i przynosić meldunki do różnych obwodów. Dostarczałem je pokonując różne odległości idąc pieszo, jadąc rowerem, a zimą także na nartach.

Wszyscy starsi ode mnie koledzy posiadali broń, mnie ze względu na młody wiek i pewnie dla bezpieczeństwa nie chcieli jej dać. Postanowiłem sam zadbać o swój przydział, a okazja nadarzyła pewnego letniego dnia w okolicach Solnecznik, czyli stosunkowo daleko od domu. Zauważyłem furmankę zaprzęzoną w pięknego belgijskiego konia, a woźnicą był samotny Niemiec. Oni zazwyczaj jeździli po terenie w grupach po trzy lub cztery zaprzęgi – więc jak nie wykorzystać takiej sytuacji? Ponadto, nie był to młody mężczyzna, więc łatwiej było mi go zaatakować. Udało mi się, bo działałem z zaskoczenia. Zabrałem ze sobą niemieckie parabellum z dwoma magazynkami amunicji i szybko uciekłem. Może Niemiec posiadał jeszcze inną broń, nie wiem, nie szukałem więcej, bo to co chciałem mieć zdobyłem. Spełniło się moje marzenie, posiadałem pistolet.

2. Aresztowanie

Po zakończeniu II wojny światowej zamieszkałem u kolegi w Wilnie i rozpocząłem naukę w gimnazjum. Chodziłem do klasy I i pewnego czerwcowego dnia 1947 r. po wyjściu ze szkoły podeszło do mnie i moich rówieśników dwóch policjantów w cywilu. Razem ze mną aresztowali jeszcze 4 kolegów. Przewieziono mnie najpierw na policję do Dziwieniszek na wstępne przesłuchanie a zaraz potem do Sieluk do rodzinnego domu. Tam nie pozwili mi zejść z furmanki i bez mojej obecności przeprowadzili rewizję, podczas której zabrali wszystkie papiery, świadectwa, zdjęcia i niestety znaleźli broń. Nie była ona szczególnie ukryta, nie było takiej potrzeby. Po rewizji wróciliśmy do Dziwieniszek. Na policji spędziłem dwie lub trzy noce. Tam, pamiętam doskonale to nazwisko, przesłuchiwał mnie enkawudzista Rabaszabkin, i bijąc po głowie mówił, *ty ubił naszego bajca*. Nie mogłem się przyznać do winy, bo nie wiedziałem, o co jestem oskarżony. Odpowiadałem tylko, że nikogo nie zabiłem.

Kolejne więzienie znajdowało się w Wilnie. Nie pamiętam lokalizacji, być może był to posterunek milicji, wiem tylko, że znalazłem się w piątym oddziale. Cella była ciemna i wilgotna, a w kącie leżało kilka desek do spania. Patrzyłem zdumiony i nie wierzyłem w to, co widzę i co się dzieje, mimo iż z okresu działalności konspiracyjnej świadomy byłem możliwych zagrożeń.

Nie pamiętam, jak długo tam przebywałem. Pewnie ponad tydzień, w ciemnej piwnicy traci się poczucie czasu, nie wiadomo, czy jest dzień czy noc.

Przesłuchania były nocne, oskarżono mnie i moich kolegów o to, że zastrzeliliśmy ich poborcę podatkowego i starano się torturami wymóc na nas przyznanie się do winy. Na każdym przesłuchaniu słyszałem; *skaži, ubił naszego bajca*, i podsuwali mi kartkę mówiąc *podpishi*. Nie podpisałem żadnego pisma, bo nie zabiłem. Katowali dotkliwie, bili po twarzy, kiedyś nogą od złamanego krzesła otrzymałem silne razy po plecach, nogach, piętach, nerkach a na koniec pistoletem po głowie. Mimo, że mój organizm był młody, ale nie wytrzymał uderzenia i upadłem na podłogę. W celi wylali na mnie wiadro wody i tak zostawili. Z tamtego przesłuchania na głowie pozostały trzy ogromne blizny. Nie potrafię i nie chcę nawet próbować opisywać bólu towarzyszącego biciu, łamaniu palców w ościeżach drzwi, uderzeniom w głowę. Kto tego nie przeżył, nigdy nie uwierzy, że można było przetrwać.

Gdy przesłuchania zostały zakończone przetransportowano mnie do kolejnego więzienia. Tym razem były to Łukiszki, najstarsze na Litwie więzienie, wybudowane jeszcze za czasów carskich. Tak jak było stare tak było straszne. Oprócz więźniów oczekujących na wyrok, znajdowali się więźniowie skazani na karę śmierci. I znów nocne przesłuchania, cele czteroosobowe, ciasno, zaduch, ale chociaż można było nieco porozmawiać.

Rodzina od czasu do czasu przyjeżdżała do mnie, bo na częste kontakty nie dostawała zgody. Wszyscy byliśmy świadomi, że wywiozą mnie na Syberię. Dlatego te spotkania były dla mnie z jednej strony bardzo ważne, bo nie pozwalały poddać się zwątpieniu, wiedziałem, że moi bliscy starają się mnie podtrzymać na duchu a drugiej strony utwierdzały w poczuciu, że ich stracę. O tym, że mogłem nie przeżyć nie myślałem.

Po siedmiu miesiącach pobytu w więzieniu odbyła się rozprawa. Wyrok sądu odczytała przewodnicząca. Za zabicie Rosjanina 15 lat, za *niezakonne chra-niennie arużja* 182 art., czyli nielegalne posiadanie broni 3 lata, za działalność w AK – *bandit* 7 lat. Wszystko zgodnie z ukazem 2.2 i wyszło 25 *lat ucnpawum-ельно-трудо-вых лагеpeў lat trudawych (roboczych) sprawitielnych łagieriej – 25 lat w poprawczym obozie*. Taki sam wyrok otrzymali także moi koledzy.

Po wyroku nie od razu wysłano nas do łagrów. Przez pierwsze tygodnie pracowaliśmy w Wilnie przy budowie elektrowni. Z więzienia na plac budowy w dzielnicy Na Rosie wozili nas więźniarką – takim samochodem z zakratowanymi okienkami zwanym *czarny waranok*. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach, a na ogrodzonym drutami terenie przygotowywaliśmy cementowe podłoże pod maszyny przywiezione z Niemiec. Oczywiście przez cały czas byliśmy nadzorowani przez strażników, którym towarzyszyły psy.

Pewnego dnia nie pojechaliśmy do pracy, ale do tzw. *rozsylnego punktu*, z którego więźniów kierowano do łagrów. W tym miejscu znajdowały się dość duże cele dla wielu osób. W takiej ciżbie często dochodziło do konfliktów wywołanych kradzieżą żywności i ubrań. Dokonywali tego najczęściej Rosjanie współpracujący z pilnującymi nas strażnikami. Tworzyły się grupy, których głównym celem było przejęcie dostarczanych przez rodziny paczek żywnościowych. One właśnie były najczęściej powodem do tych bijatyk, które z czasem były coraz bardziej zacięte z obu stron!

W takiej sytuacji dochodziło do konsolidacji Polaków z Litwinami i wspólnie odpierane były ataki. Raz uczestniczyłem w takiej walce. Nie daliśmy sobie odebrać worków z ubraniem, dlatego zaczęła się bójka, a ja niewiele myśląc złapałem szwabkę i skoczyłem na górną pryczę. Miałem bardzo dogodną pozycję do wywijania kijem i wspomagałem swoich w tej trudnej walce. Wygraliśmy, ale to był tylko zwiastun tego co nas czekało w łągrach, rzecz można początek trudnej szkoły życia. Za ten incydent zapłaciłem pobylem w karczerze.

3. Obóz w tajdze

Pewnego dnia wyczytano moje nazwisko z równoczesnym rozkazem: *sobierajties s wieszczami*. Skierowany zostałem do grupy osób, które przeznaczone zostały do wywózki. Na dworcu czekały na nas duże, zakryte i zakratowane wagony, było ich około 60 i dwie lokomotywy. Wewnątrz wagonu nie było prycz, a w podłodze widniał tylko otwór na potrzeby fizjologiczne. Rozlokowaliśmy się na podłodze, Jechaliśmy dzień, noc, dzień noc, nie pamiętam ile takich dni i nocy było może 8-10? W początkowym okresie tej podróży w nieznanie zdarzały się ucieczki z transportu. Znajdowali się odważni, którzy różnymi sposobami wykorzystując sprzyjające sytuacje najczęściej przez wycięty otwór w podłodze wagonu pozostawali pomiędzy torami a gdy skład wagonów przejechał uciekali dalej. Później Rosjanie zastosowali takie metody, które skutecznie uniemożliwiały ucieczkę. Raz na dobę dostawaliśmy trochę wrzątku do picia – *kipiatok* i coś, co nazywało się zupą. Wodnista ciecz wlewała na chochlą do jakiś puszek.

I ponownie *rozsylnyj punkt*. Z wagonów wysiadło nas ze 300 osób. Przez pierwsze noce spaliliśmy dosłownie pokotem jeden przy drugim na cementcie. Bez względu na to jakie mieliśmy ubrania, to kładliśmy się grupami, jeden przy drugim, jedno ubranie na cement a przykrywaliśmy się innym ubraniem i ogrzewaliśmy się własnym ciepłem. Ludzi na tym punkcie były tysiące, w tym również kobiety. Na zapytanie strażnika, jaki mam zawód odpowiedziałem, że *plotnik*, czyli cieśla. Przydzielili mnie do grupy skazańców, która miała przygotować w tajdze nowy podobóz i wkrótce obstawą strażników z psami po sformowaniu kolumny wyruszyliśmy. Była późna jesień, zaczęły pojawiać się pierwsze płatki śniegu. Maszerowaliśmy pieszo, nie było żadnej drogi tylko jakieś przesieki, obok nas dostojnie i powoli szły konie obciążone niezbędnymi materiałami i prowiantem. Czasami niektóre konie prowadzili więźniowie. Wędrowaliśmy tak przez tydzień, noce, oczywiście bardzo zimne spędziliśmy pod gołym niebem. Wkrótce dotarliśmy do miejsca przeznaczenia a tam tylko napis – *9 łaguczastek* (przystanek) Był to jeden z licznych podobozów znajdujących się w tajdze ale istniejący tylko w planach. To my swoją pracą mieliśmy go zbudować. Istota łągrów budowanych w lasach syberyjskich polegała na tym, że centralnie znajdował się główny obóz ze wszelkimi wygodami dla nadzorujących, a od niego, najczęściej promieniście znajdowały się mniejsze jednostki w odległości około 50 km. I oto otacza nas dziewicza tajga, należało zatem zbudować ziemianki, ale w pierwszej kolejności dla nadzorujących nas żołnierzy. Kolejność pracy obejmowała karczowanie lasu, wykopanie głębokiego na około 2 m wykopu i przygotowanie budulca do jego zabezpieczenia i zadaszenia ziemianki. Równocześnie kopano rów oddzielający nas od tajgi, który szybko stał się ogrodzeniem z zastrzonych u góry pali. W obu rogach tego ogrodzenia postawiono dwie wieżyczki strażnicze *wyżki*, a gdy przywie-

ziono kolczasty drut zwieńczono nimi pionowo wkopane drewniane bale. Brakujący sprzęt i materiały podwożono końmi lub ciężarówkami.

Ziemianki dla nas łagierników były długie, nie tak głębokie jak dla strażników, ale na tyle niskie, że trzeba było schylać w nich głowy. Dla około 50 mieszkających osób musiały wystarczyć dwa rzędy prycz umieszczone wzdłuż ziemianki. Jeden rząd na górze, drugi na dole. Udało mi się zająć miejsce na górnej półce, było to nieco cieplejsze lokum. W pierwszych dniach kiedy to zasiedliliśmy te ziemne baraki szczególnie ostro doskwierał nam chłód. Ale rozwiązanie przyszło w porę i nikt w tym czasie nie zamarł z zimna. Były to duże, około 200 litrowe beczki, które wnieśliśmy do naszych ziemianek i pomimo braku komina odprowadzającego dym cieszyliśmy się z rozchodzącego się ciepła. Nieco dymu ulatniającego się przez otwór w dachu wcale, a to wcale w takiej sytuacji nam nie przeszkadzało.

Umiejętność jazdy na nartach nabyta w rodzinnych stronach podczas rozwożenia meldunków pozwoliła mi podjąć, niestety nieudaną próbę ucieczki z obozu. Zimą strażnicy codziennie objeżdżali tereny wokół obozu na nartach a potem stawiali je w jednym miejscu. Byłem jeszcze w pełni sił, obóz był bez zasieków, wykorzystałem więc odpowiedni moment i podwędziłem jedną parę nart. Mocno odbijałem się kijkami od podłoża, a narty sunęły bardzo szybko. Odjechałem z pewnością lekko ponad 100 km, pędziłem po białej pustyni kilka dni, dokładnie nie pamiętam. Padałem spać zmęczony, ale pamiętałem, żeby zanim zasną oznaczyć kierunek, z którego nadjechałem, by po nocnym odpoczynku wiedzieć gdzie dalej jechać. Ucieczki specjalnie nie planowałem, ale byłem przygotowany na taką ewentualność. Miałem zaoszczędzonego trochę chleba, bo odkładałem po kawałeczku i mroziłem, a wystarczyło go przez chwilę potrzymać na mrozie. Przysłuchiwałem się rozmowom różnych ludzi i dowiedziałem się, że w odległości około 300 km jest kolej. Miałem nadzieję, że uda mi się do niej dotrzeć. I plan na pewno bym zrealizował, gdyby nie psy pilnujące obozu. Ich wspaniały węch pozwolił strażnikom podążać moim śladem i w pewnej chwili dopadły do mnie dwie bestie. Chroniłem twarz przed ugryzieniem, gdy tymczasem one bardzo dotkliwie zniszczyły ubranie, ale mnie nie pogryzły. Bardziej poturbowali mnie strażnicy. I taki zmęczony, obolały i przemarznięty wlokłem się za nimi, bo oni jechali na nartach a ja szedłem pieszo. Po powrocie do obozu czekał mnie ciąg dalszy kary, bo postawili mnie przy baraku na dowód, że ucieczki nie są możliwe, bo psy i tak znajdują. Chyba po upływie około roku przeniesiono mnie jako cieślę w Workucie.

4. Workuta

Miasto leżące za kręgiem polarnym na wiecznej zmarzlinie powstało w wyniku pracy więźniów skazanych na przymusową pracę. W ogrodzeniu z drutu kolczastego stały dawno już pobudowane baraki, bo od wielu lat płukano tu złoto i wydobywano węgiel. Więźniów było całe mnóstwo, od razu włączony zostałem do około 300 osobowej grupy zajmującej się przygotowaniem kolejnych sztolni. Nie była to lekka praca, ale wdzięczniejsza niż fedrowanie węgla za pomocą kilofów i łopat i wywożenie go drewnianymi taczkami. Pod kopalnię podjeżdżał transport desek i drzewa, a my stawialiśmy szalunki do określonych wymiarów. Jeśli chodzi o warunki mieszkaniowe to w pierwszym okresie pobytu spaliliśmy na gołych pryczach, które nieco później wzbogacone zostały przez zużyte, wojskowe materace.

Podczas mojego pobytu w łagrach republiki Komi, nie pytano mnie o przynależność państwową. A jeśli ktoś był bardzo wścibski podawało się niezgodnie z prawdą miejscowość, a z ulicą nie było żadnych kłopotów, bo przecież w każdym większym mieście znajdowała się ulica Lenina lub Stalina. Tam byliśmy wszyscy jednakowi a ciekawość nie była gwarancją przeżycia.

W Workucie otrzymałem wiadomość z domu, że znaleziono prawdziwych morderców poborcy podatkowego. Mój szwagier, który był dyrektorem mleczarni napisał odwołanie od wyroku skazującego za zabójstwo, którego nie dokonałem i sąd zwolnił mnie z wykonywania 15 letniej kary. Od razu zyskałem inny status, bo pozostawało mi już tylko kilka lat dzielących mnie od wolności, a wiadomo, że w takim okresie nikt nie będzie podejmował ryzykownych zachowań. Czyli nie będę uciekał, ale także nie będę rozrabiał, bo trochę się mnie bano.

5. Uchta

Po półtorarocznym rocznym pobycie kolejny łagier, tym razem w tajdze w okolicy Uchty. Po przyjeździe słoczono nas na obozowym placu. Wyszedł naczelnik i odbyła się wymiana zdań. Pytanie: *Wy znajete kuda wy pryjechali?* My więźniowie składnie odpowiadaliśmy: – *No k wam grażdanin naczałnik.* Pytanie: – *Da, kto zdies chazjain?* Odpowiedź: – *No wy naczałnik.* I zakończenie: – *No wot pašuszajti, ja zdies chaziain i miedwied, i bolsze i nikawo niet.* Więcej nie trzeba było mówić, doskonale wszystko zrozumieliśmy. Praca w tajdze była ciężka, najpierw przygotowaliśmy ognisko dla strażników. Ponieważ byłem wysoki nazywali mnie *matyszka*. W naszej grupie był starszy Rosjanin – siedział już 16 lat, nazywaliśmy go Diadja Wania, chyba mnie lubił, bo tak wielokrotnie mnie pouczał; *Ty matyszka nie padchodi k ogniu*, bo wszystko ogrzewa się i mrozi się, a gdy rano wstajesz to w rękę bierz śnieg i nim nacieraj twarz. Nie będziesz miał odmrożeń. Pomimo dostosowania się do rad, nie unikałem odmrożeń. Podobnie jak nie unikałem nieszczęśliwych wypadków. Po ścięciu drzewa, obcięciu konarów i pocięciu na mniejsze 6-10 metrowe odcinki przewoziliśmy je na brzeg rzeki i ustawiali w wysokie sztaple. Zazwyczaj starannie zabezpieczaliśmy je przed zsunięciem. Takie sterty kłód w maju lub czerwcu, kiedy puściły lody spływały do wody i transportowane były rzeką. Podnosiliśmy te bale za pomocą specjalnego haka, pewnego dnia jakimś dziwnym trafem ześlizgnął mi się i spadł na nogę. W rezultacie duży palec u nogi pękł, a trzy kolejne zostały zmiażdżone. W łagrze felczerem był Gruzin, ale nikt do niego nie chodził, zresztą i tak nic by zrobił. Owinąłem całą stopę jakąś szmatką i pomimo bólu szedłem pracować.

Codzienny rytm życia; pobudka, praca, poszukiwanie pożywienia, sen, zakłócały różne wydarzenia. Poznałem izolator, czyli więzienie, a dostałem się do niego niezasłużenie, ale kto zwracał wtedy uwagę na takie szczegóły. Trzeba było tak postępować, aby przeżyć. Mój ojciec wychowując mnie i wprowadzając w dorosłe życie, dawał różne rady. Jak to bywa, jedne wywoływał mój bunt, inne przyjmowałem bez zastrzeżeń. Jedna z takich rad życiowych pomogła mi przeżyć łagry. Mówił; *jesteś młody, silny i wysportowany, pamiętaj abyś nigdy nikomu nie zrobił krzywdy, ale nie pozwól sobie by Ciebie ktoś skrzywdził.* Dlatego świadomy swojej siły nie pozwalałem sobie na bezkarność w stosunku

do mnie, ale też nie szukałem sam guza. Strażnicy dozoru nas nie czuli się wśród takiej masy różnych więźniów bezpiecznie. Byli wśród łagierników i pospolici więźniowie i więźniowie polityczni. Ale potencjalnie każdy z nas mógł nie zwrócić siekiery, piły, noża, którym pracował i wykorzystać je jako narzędzie przeciwko strażnikowi. Dlatego też często w barkach obywateli się rewizje. Podczas jednej z nich pod moim sfatygowanym kożuszkiem, na pryczy strażnik znalazł schowany przez sąsiada nóż. Padło pytanie: – *kowo szuba?* Jak powiedział bym, że sąsiada, obydwaj wyładowalibyśmy w więzieniu. Odpowiedziałem, że moja. *Wychadi!* – krzyknął i tym sposobem zaznajomiłem się po raz drugi z izolatorem.

Nie tylko w obozie, ale także w barakach relacje między więźniami zależały od grup kryminalistów zwanych *urkami*. Byli wśród nich pospolici złodzieje, ale także mordercy skazani za zabójstwa na karę 25 lat. Tworzyli oni odrębne hierarchiczne struktury, które posługiwały się swoimi obyczajami i prawami regulującymi podległość na zarządzanym terenie. Nawet strażnicy w obawie o swoje życie nie do wszystkich prac mogli ich zmusić. I oto pewnego dnia nie wiedząc, że mam do czynienia z jednym z nich, dosyć mocno dochodziłem swoich racji i trochę delikwenta poturbowałem. Na to, że nie ja zacząłem bójkę miałem bardzo dużo świadków. W naszej brygadzie pracował jeden z poważanych *urków*, nazywaliśmy go Karandasz. Pracowało mi się z nim dobrze, a że cieszył się wśród nas dużym autorytetem powiedziałem mu o swojej przygodzie nie spodziewając się, że może mieć ona ciąg dalszy. Wieczorem wpadło do baraku trzech osobników, wiadomo w jakim celu, ale Karandasz po wysłuchaniu przybyłych *urków* nie pozwolił mnie dotknąć. Pobity nie tylko, że odstąpił od zabicia mnie, to jeszcze nie zgłosił się do *sanczasti* (punkt lekarski), dzięki czemu nie znalazłem się w karczerze.

W obozie nie tylko częste były bójki, ale także zabójstwa, niestety byłem świadkiem jednego z nich. Z obozu w Peczorze przywieźli nowych więźniów, wśród nich byli także *urki*. Niewybaczalnym występkiem, którego mógł się dopuścić *urka* była współpraca z nadzorcami więźniów. W żargonie obozowym takiego *urkę* nazywano „suką” i jego los był przesądzony. Wśród przybyłych więźniów z łagru w Peczorze był taki donosiciel. Nocą, na moich oczach bandyci ugodzili kilka razy nożem winowajcę i spokojnie, cicho wyszli z baraku. Wiadomo, że nic nie widziałem i nie słyszałem, bo spałem. Co się z nimi stało, nie wiem, może zostali wywiezieni do innego łagru.

Kolejne lata pobytu w obozach były coraz trudniejsze. Ludzie umierali z głodu i chłodu. Ja także dotkliwie odczuwałem brak pożywienia. Zabierali nas pełnych sił a po kilku latach byliśmy chodzącymi ludzkimi wrakami. Ważyłem 48 kg, ja chłopak o wzroście 183 cm. I jak tu wypracować normę, od której zależała wielkość chleba i posiłku. Bez chleba nie można było prawidłowo funkcjonować. Wodnista zupa – *bałanga*, czasami pływał w niej jakiś strzęp ryby – mięsa nie widziałem nigdy, nie dostarczała prawie żadnych składników energetycznych. Ziemniaki były suszone, więc podawano nam rozparzone, taką szarą breję. Późną wiosną i latem wspomagała nas tajga. Gdy tylko pojawiały się pierwsze ekipy w lesie, to nie bacząc na kąsania komarów i meszek zagłębialiśmy się w tajgę w poszukiwaniu pożywienia. Byliśmy wspaniałymi specjalistami rozpoznającymi jadalne gatunki roślin. W mig zniknęły moroszki

(podobne do truskawek), pokrzywy, lebioda, *iwana czar* czyli rosyjska odmiana wierzbowki oraz tzw. *pichta* czyli miąższ z jodły syberyjskiej.

Pracowałem w różnych miejscach, np. przy wyrębie lasu, budowie drogi, baraków mieszkalnych. I właśnie podczas budowy baraku z drewnianych bali, które przygotowywałem do zamocowania, ześlizgnęła mi się siekiera i zamiast w drewno uderzyła w moje kolano. Rozciąłem go solidnie, ale pocieszałem się, że mogło być gorzej, gdyby siekiera zniszczyła rzepekę. Na krwawiącą ranę przyłożyłem prowizoryczny opatrunek z dostępnych materiałów i czekałem na zrośnięcie, które niestety nie było już takie szybkie. Brak witamin i niedożywienie odbiły się na odporności organizmu.

6. Peczora

Kolejnym łagrem do którego mnie przewieźli była Peczora. Warunki do mieszkania, jeśli można je tak nazwać, były nieco lepsze, nadal spaliśmy na pryzkach w barakach, ale już na materacach wypełnionych słomą lub sianem. W początkowy okresie pobytu przydzielono mnie do brygady, której zadanie polegało na zbudowaniu osiedla z domków fińskich. Były to parterowe, dwupokojowe mieszkania wykonane z desek i przeznaczone dla rodzin strażników a także osób zwolnionych po odbyciu kary, które nie wracały w rodzinne strony tylko pozostawały w obozie jako wolni pracownicy.

Przygotowanie terenu oznaczało w pierwszym etapie wykarczowanie określonego kawałka tajgi. Była zima i dodatkowym utrudnieniem był zalegający śnieg, który należało usunąć. Pracowaliśmy pod okiem *proraba*, czyli takiego technika czy inżyniera, który nie tylko nadzorował przebieg prac, ale prowadził ewidencję wykonanych czynności, dzięki czemu mogliśmy otrzymać zapłatę – *chozraszczot*. Często koledzy z mojej brygady mówili do mnie: *Franz idi do proraba i razgawarywaj s nim, skolka my siewodnia sdietałi raboty*”, np. ile pni wykarczowaliśmy, jaką objętość, ile śniegu wywieźliśmy.

Po wytyczeniu miejsc, na których mamy stawać domki mogliśmy wchodzić z kolejnymi pracami. Teraz czekało na nas najgorsze zajęcie związane z postawieniem pali. Ziemia była głęboko zamrznięta, dlatego paliliśmy ogniska starając się nieco rozmrozić ziemię a dopiero później w ruch szły łomy i kilofy. Łopaty do tej pracy się nie nadawały. Kopaliśmy dół na głębokość 100- 120 cm i wbijali zastrzone drewniane pale wcześniej opalone nad ogniem, który lepiej niż smoła konserwował drewno. Po ich obsypaniu wybraną ziemią i różnym dostępnym materiałem budulcowym znajdującym się w zasięgu obozu powstawał las wystających z ziemi pali. Na nich, z kolejnego drewnianego budulca, budowaliśmy platformę znajdującą się około pół metra nad powierzchnią gleby. I dopiero na niej możliwe było postawienie domku. Ściany, które stawialiśmy wykonane były z dwóch warstw desek, zewnętrznych i wewnętrznych, pomiędzy nie wkładaliśmy izolację, najczęściej były to trociny, mech, kora z drzew. Podłoga również była dwuwarstwowa. Wszystkie elementy otrzymywaliśmy gotowe, nasza praca polegała tylko na ich montowaniu, w składzie też były krokwie na dach. Często wykonywaliśmy otwór w podłodze, który po schodach prowadził do piwnicy wykopanej w ziemi. W takim domku znajdowały się najczęściej dwa pokoje z oddzielną kuchnią i pomieszczenie dodatkowe z przeznaczeniem na łazienkę.

Wiadomość o śmierci Stalina zastała mnie przy budowie komina. Aby go postawić najpierw należało zrobić głęboki wykop pod cementowy postument. I właśnie tego dnia, z tej jamy w ziemi po informacji, że Stalin nie żyje wydobło się gromkie hurra. Musiało brzmieć bardzo głośno, radośnie wyraźnie i jakoś chyba groźnie, bo nagle nad nami pojawili się skośnoocy strażnicy – *Matczy, bo zastrelu*. Wiedzieliśmy, że oni boją się o swoją przyszłość, ale my także nie wiedzieliśmy, co będzie dalej.

Kolejne dni nie przyniosły żadnych odczuwanych przez więźniów zmian, nadal trwała ciężka praca, małe racje żywnościowe. Po krótkiej euforii nastąpił powrót do codzienności wyznaczonej przed laty, ale powolutku do obozowego życia zaczęły przenikać pewne udogodnienia, np. dotyczące odzieży. Otrzymaliśmy to, co nie nadawało się już w wojsku, czyli kufajki, spodnie, które nie wymagały wielkiego cerowania, a nawet na lato używane trzewiki. A że rozmiary nie pasowały, kto by sobie tym głowę zawracał. Cieszyliśmy się z każdego przejawów cywilizacji docierających do obozu. Takim np. był *łarok* – kiosk, zwykła budka, do której przywożono tylko chleb. Można go było kupić za pieniądze, które otrzymywano po wykonaniu roboczych norm i odliczeniu wydatków, jakie ponosił gułag na nasze utrzymanie. Gdyby nie śmierć Stalina o takiej możliwości nie można byłoby nawet pomarzyć. Nadal jednak nic nie zrobiono z bezprawiem panującym wśród więźniów. Duża część łagierników nosiła przy sobie noże, ja także. Ale nie zawsze można było się uchronić przed atakiem złodziei i zwykłych bandytów. Sam tego doświadczyłem w momencie, gdy wracałem z kolegą Witkiem z Baranowicz z zakupionym w kiosku chlebem. Zostałem zaatakowany przez dwóch Rosjan, którzy chcieli mi go wyrwać, zaczęliśmy się szamotać, trochę chleba się zniszczyło, ale cały czas mocno go trzymałem. W pewnej chwili jeden z napastników wyciągnął nóż i ugodził mnie w brzuch. Zdążyłem jednak zasłonić się przed ciosem kufajką, którą miałem na rękę. Uderzenie było jednak bardzo silne, ból i cieknąca krew obudziły we mnie taką wściekłość, o którą nigdy bym się nie posądzał. Rzuciłem się do walki, młóciłem rękoma zbirów po całym ciele, w afekcie wyciągnąłem nóż i zrobiłbym z niego użytek gdyby nie zdrowy rozsądek kolegi. Złapał mnie za rękę i krzyknął: – Co robisz, chcesz aby cię wysłali do „reżimnego”? Oprzytomniałem momentalnie, znaczyło to dla mnie kolejne lata w łagrze o zaostrozonym rygorze. Gojenie rany, z której w późniejszych latach wytworzyła się przepuklina (usunięta już w Elblągu), przebiegało nieco dłużej niż zazwyczaj się to dzieje, ale dzięki Witkowi możliwe było w ogóle jej wygojenie. Ten incydent miał miejsce parę miesięcy przed jego zwolnieniem z łagru. Jako zdun miał możliwość opuszczania obozu, bo stawiał piece okolicznym mieszkańcom, którzy często płacili za pomocą jedzenia. Witek solidarnie się nim ze mną dzielił i dlatego miałem trochę więcej sił i szybciej wracałem do zdrowia.

Przez siedem miesięcy pracowałem w tartaku na nocną zmianę. Praca nocą była bardzo ciężka i wyczerpująca. Byłem bardzo zmęczony, wychudzony, bolały mnie wszystkie mięśnie, jeszcze nie miałem objawów związanych z kurzą ślepotą, zawrotów głowy i schorzeń kwalifikujących mnie do określenia *dochodiaga*, czyli na wykończeniu. Ale ta granica była bardzo blisko. I wtedy dowiedziałem się, że jest jakiś przepis mówiący o tym, że nie wolno pracować na nocnej zmianie dłużej niż pół roku. Na skrawku papieru napisałem prośbę

o przeniesienie mnie do innej brygady. Oczywiście moją prośbę zbagatelizowano. Sytuacja patowa, jeśli nic się nie zmieni, umrę. Podjąłem decyzję o strajku polegającym na głodówce. Wsadzili mnie do celi, pamiętam nazwisko strażnika – Bykow, który mnie odprowadzał. Zapytał: *Staniul, czto ty dielasz? Ty tam padochniosz*. Ale mnie już było wszystko obojętne. Przyszli po mnie po siedmiu dniach i oznajmili, że jestem wolny i przeniesiony do innej brygady, ale najpierw wzięli mnie do *sanczasti* (punktu lekarskiego). Tam mnie zbadano, nieco podkarmiono i skierowano do Kotłasa, do brygady, która wozila prowiant z głównego łagru do podobozów.



Dokument potwierdzający pobyt na Syberii

7. Kotłas

Praca nie była ciężka, ale jakże opłacalna, zawsze znalazło się coś do zjedzenia. Jednak musieliśmy uważać, co prawda, nie było już przy nas wartowników z psami, ale byliśmy bacznie pilnowani przez strażników z bronią i dużo ryzykowaliśmy podkradając z transportu trochę mąki lub suszone ziemniaki. Sposobów na ten proceder było dużo, ale musieliśmy działać w wielkiej tajemnicy. Takie kolektywne działanie dotyczyło np. śledzi, które były przewożone w wielkich beczkach. Mimo, iż były solone, nie wytrzymały syberyjskich mrozów i także zamarzały. W dogodnych warunkach odginaliśmy dno i wyrzucaliśmy ryby w śnieg. Każdy z nas obowiązkowo przechodził kontrolę, strażnik dokładnie nas obmacywał i nie mogliśmy ich przemycić pod ubraniami, dlatego przechodziliśmy przez bramę zwartą grupą i korzystając ze sztucznie czynionego tłoku, nogami przesuwaliśmy w śniegu poszczególne tuszki śledzia, którymi później dzieliliśmy się sprawiedliwie.

Odbywałem wyznaczoną przez sąd karę już siódmy rok, gdy dowiedziałem się, że w obozie jest człowiek, który zajmował się obserwacją więźniów i sporządzał notatki dotyczące sprawowania, staranności wykonywanej pracy. Kolega Witek powiedział mi o tym dodając, że jestem przeznaczony do zwolnienia. Nie bardzo w to wierzyłem, ba, nawet się nad tym nie zastanawiałem. Upłynęło pół roku, gdy pewnego dnia wezwano mnie do komendantury obozu i poddano pytaniom np. jak będę się zachowywać po zwolnieniu, gdzie planuję zamieszkać itp. Zaświtała nadzieja, że może Witek ma rację, ale szybko głos rozsądku przemówił, że może to być jakaś prowokacja, bo NKWD nie odpuszcza. Kolejne dni upływały na rutynowej pracy, aż tu wpada Witek i mówi, że u *naradczyka* jest lista do zwolnienia z obozu i na niej znajduje się na niej moje nazwisko – Staniul Franz Iwanowicz. Opanowałem emocje i poszedłem sprawdzić listę, tak, byłem na niej, w głowie mętlik, najchętniej skakałbym i krzyczał z radości. Ale lista listą, wierzyć nie można, bo decyzja należała do naczelnika, zatem kolejne dni niepewności, ale okraszone już nadzieją. I oto wzywają mnie do komendantury, major informuje mnie, że jestem wolny. Następnego dnia przyszedł *nadzieratiel* i powiedział: *Sobierajties swoje wieszczki jediesz damoj*. Jakie rzeczy!!!, ale tak naprawdę byłem przygotowany, bo od kolegi dostałem marynarską koszulkę, a od naczelnika kufajkę, buty brezentowe i ciepłe onuce. Gdy tylko wyprowadzili mnie poza obóz, powiedziałem: *Do swidania*, i nie oglądając się za siebie wsiadłem do sań z jednym z brygadzi- stów, u którego z resztą zanocowałem. Namawiał mnie, abym został, zamieszkał w domku fińskim i jako już wolny człowiek pracował, bo pracy było dużo, a perspektywy rozwoju duże. Wciąż nie wierzyłem, że byłem wolny i mogłem jechać od razu do Polski.

Wybrałem jednak powrót w rodzinne strony, które należały już do ZSRR. Bardzo chciałem zobaczyć mamę, siostry. Na przejazd otrzymałem parę rubli, które miały wystarczyć na bilety. Niestety, nie czekałem na połączenie kolejowe do Wilna, tylko wsiadłem do najbliższego pociągu, byle dalej od łagrów, byle bliżej do domu. Jechałem odcinkami, i wkrótce przekonałem się, że pieniędzy mi zabraknie. Jak nie wystarczy, co za różnica czy brakujemy 5 rubli czy 50. Poszedłem do sklepu i kupiłem sobie normalne spodnie i niebieską koszulę. A później wykorzystywałem zwolnienie z obozu pokazując je kontrolerom z komentarzem, że nie dostałem wystarczającej kwoty na powrót.

8. Ponownie Sieluki

Dotarłem do domu, wszedłem bez pukania i mówię: *Zdrastie*. Domownicy patrzą na mnie, a ja stoję przed nimi w kufajce, bo dotarłem na Nowy Rok, w czapce naciągniętej na uszy, ale nie rosyjskiej, tylko sprezentowanej przez jakiegoś więźnia, z drewnianą walizeczką, taki *czemodańczyk*, a w nim kupiona po drodze koszula. Gdy zdjąłem czapkę pierwsza rozpoznała mnie siostra. Jak do mnie doskoczyli, siostra, mama, sąsiad, radość przeogromna. Po krótkiej rozmowie, obowiązkowa kąpiel i poszedłem spać do normalnego łóżka. To był raj. Nie dane jednak było mi się wypaść do woli, następnego dnia już wszyscy w okolicy wiedzieli, że Franek wrócił z Syberii. Rano przyszła do mnie córka Kiełdanowicza z zapytaniem czy nie spotkałem jej ojca. Zobaczyłem przed sobą piękną dziewczynę, nie poznałem jej, bo siedem lat temu była jeszcze dzieckiem. Niestety drogi jej ojca i moje nie skrzyżowały się. Opowiedziałem o bezmiarze Syberii, o rozsianych obozach. Dałem nadzieję, że może powróci.



Polski dokument repatriacyjny

Po kilku tygodniach odpoczynku należało pomyśleć o przyszłości, która nie rysowała się różowo. Nasze gospodarstwo nie istniało, włączone zostało do kołchozu, a mamie pozostawiono tylko około 60 arów ziemi. Po moim aresztowaniu dla Sieluk nastąpiły dla nich także trudne czasy. Kto nie chciał iść do kołchozu i nie oddał ziemi dobrowolnie zmuszany był siłą i zastraszanym. Na kogo padło jakiegokolwiek podejrzenie był deportowany w głąb ZSRR. Nie mogłem być zameldowany w Wilnie, nie mogłem także znaleźć pracy. Po długich poszukiwaniach znalazłem rozwiązanie, zacząłem handlować na targu mięsem. Powoli gromadziłem niezbędne zasoby finansowe, aby móc rozpocząć nowy etap życia. Był nim przyjazd do Elbląga.